Kołyska i krzyże

Słońce stało wysoko, ale grzało tak, jakby było zawieszone tuż nad ziemią – zeskorupiałą i pokaleczoną przez nie nieregularnymi pęknięciami, jak dłonie starego poczciwego chłopa.

Była w drodze już od kilku godzin i szło jej się ciężko, bardzo ciężko jak na jej stan, i dlatego musiała co jakiś czas odpoczywać; ale wiedziała że iść musi, bo cel jest już bliski i myśl o tym dodawała jej nowych sił, jakby coś odradzało się w niej z każdym przybliżającym ją do celu krokiem. W końcu, wyczerpana ale dumna z siebie, stanęła przed jego domem; zapukała do drzwi. Nikt i nic odpowiedziało jej ciszą. Zapukała jeszcze raz, lecz z tym samym skutkiem. Chwilę bezradnie postała i już miała odejść, gdy z pobliskiego budynku dotarł do niej jakiś hałas. Skierowała się tam i po krótkiej chwili znalazła się w jego wnętrzu.

– Bądź pozdrowiony, Piotrze, i niechaj będzie pochwalony dzień, w którym cię spotkałam – powiedziała, zbliżając się do zajętego pracą mężczyzny, który na widok kobiety i dźwięk jej słów, przerwał ją.

– A, dziękuję, Mario. Ty również bądź pozdrowiona – odrzekł, po czym odłożył strug na bok i wyprostował się. – Cóż cię tutaj przygnało w takim stanie? W powietrzu wisi chamsin, a ty urządzasz sobie takie maratony. Stało się coś?

Podeszła bliżej i usiadła na stercie nieobrobionych żerdzi, podczas gdy on oparł się o blat warsztatu.

– Nic, tylko tak sobie pomyślałam, że już niedługo będzie mi potrzebna kołyska i że… że mógłbyś ją dla mnie

zrobić. Pierwszego kwietnia ma nastąpić rozwiązanie, a tu już marzec, a ja jeszcze nic nie mam dla dziecka.

Mężczyzna przyglądał się jej przez chwilę, skrupulatnie ważąc coś w umyśle, po czym powiedział:

– Pewnie, że bym zrobił – nawet dwie, tylko że z tym – wskazał głową na stos nieobrobionych żerdzi – mam już kupę roboty, a i to nie wiem, czy się wyrobię na czas. Namiestnik rzymski zlecił wykonanie kilkudziesięciu krzyży na jakieś ich marcowe święto i jeżeli tego nie zrobię, mogę mieć kłopoty. Sama więc rozumiesz – rozłożył bezradnie ręce.

– Proszę cię. – Spojrzała na niego błagalnym wzrokiem Maria. Bardzo mi na tym zależy. Powiedz, co mam zrobić, żeby cię przekonać?

– A Józef nie może? Ponoć jesteś z nim…

– Może i by mógł, ale on przecież garnki lepi – gdzie tam jemu do stolarki! Nie zna się na tym tak dobrze jak ty. Dlatego do ciebie przyszłam. Zrób to chociaż przez wzgląd na to, co nas kiedyś łączyło…

– Jeżeli przez coś, oczywiście oprócz tych krzyży, nie mogę tego zrobić, to właśnie przez to, co było dawniej między nami. To, że działo się źle miedzy nami, nie było dla wielu tajemnicą. Po prostu nie pasowaliśmy do siebie i tyle. I to nawet, wiedz o tym, nie tylko przez tego żołnierza rzymskiego... Jak mu tam było?

– Nie musisz do tego wracać, nie musisz mnie tym powtórnie katować.

– Zdaje się, że miał na imię Pantera, zgadza się?

– Dlaczego to robisz? Przecież wiesz, że nie zrobiłam tego z wyrachowania, a jedynie z głupoty. Byłam młodziutka, niedoświadczona, a on mnie zwyczajnie

uwiódł… – Zamilkła i spuściła głowę, niczym ofiara oczekująca egzekucji. – Ale czyż nie powiedziałeś, że mi wybaczasz? – powiedziała po chwili.

– To prawda – pokiwał głową – wybaczyłem. Zrobiłem to wtedy, kiedy zrozumiałem, że twoja rozwiązła natura posiada nad tobą władzę. Ale, tak po prawdzie, nie o to tutaj chodzi. Sama widzisz, że jestem zawalony robotą, a ty mi tu jeszcze tę kołyskę wciskasz. W tym momencie te krzyże są dla mnie najważniejsze! Jeżeli nie uporam się z nimi na czas, mogę mieć kłopoty. A ja nie chciałbym ich mieć. One mogą człowieka zniszczyć.

Maria wolno uniosła głowę – na jej twarzy zalśniły łzy i dopiero teraz uwidoczniły się trudy przebytej niedawno drogi.

– Proszę cię – wyszeptała – nie odmawiaj. Już nie chodzi o mnie, ale o to nienarodzone jeszcze dziecko – jemu nie odmawiaj. Cóż ono ci zawiniło?

Uchwycił jej wzrok, błagalny i pełen cierpienia, i pomyślał: „Czy nigdy już nie uwolnię się od tej miłości? Naprawdę nigdy? Boże wszechmogący, tak bardzo chciałbym nienawidzić!... Tak bardzo… Ale nie mogę, nie potrafię…”. Powiedział jednak:

– Dobrze, Mario. – Podszedł do niej, ujął jej ramiona i pomógł się podnieść. – Przyjdź… za trzy tygodnie.

– Dziękuję. Na pewno przyjdę! – żarliwie odrzekła, a jej twarz była teraz promienna i wyrażała bezgraniczną wdzięczność. Chciała pocałować go w rękę, ale zmieszany błyskawicznie uciekł z dłonią.

Chwilę postali jeszcze wpatrując się w siebie w milczeniu, po czym Piotr pogładził ją po włosach i pocałował w czoło; w następnej chwili Maria odwróciła się i

wyszła z szopy, w której pozostawiła zmartwienie i w której po chwili ponownie rozległ się miarowy, energiczny odgłos pracy struga. Szła tą samą drogą, która ją tu przywiodła, lecz teraz, mimo zmęczenia, szło jej się o wiele lżej, raźniej.

28.01.1988 r.